

Jarosław Guzy: Problemy Unii Europejskiej wynikają z deficytu demokracji

Mechanizm większościowy jest w kontekście odejścia Brytyjczyków jeszcze groźniejszy niż był. Wielka Brytania wносиła również element różnorodności; można było narzekać, że Brytyjczycy są egoistyczni, ale Wielka Brytania jest kulturą polityczną głęboko demokratyczną i bardzo różni się od etatystycznej Francji czy Niemiec – mówi Jarosław Guzy w rozmowie z Karolem Grabiasem dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Uniaeuropa.pl”.

Karol Grabias (Teologia Polityczna): Cykliczne badania wskazują, że Polacy są cały czas w awangardzie euroentuzjastów. To zaskakuje, gdy zestawimy to z naszym wizerunkiem w zachodnich mediach. Z czego wynika ten dysonans?

Jarosław Guzy (Polska Agencja Prasowa): Jest tu kilka elementów, które wywołują ten pozorny paradoks. Jeżeli pominiemy „zawodowych” euroentuzjastów, to zdecydowana większość Polaków dostrzegających problemy trapiące Unię Europejską i te, które Polska ma z Unią, wciąż nie utożsamia UE i członkostwa w niej z problemami stwarzanymi przez brukselski establishment i kontrolujące go kraje. Oczywiście wszyscy myślący trzeźwo dostrzegają też rzeczywiste, konkretne korzyści, jakie przynosi nam nasze członkostwo. Pamiętam szereg obaw, jakie różne grupy społeczne miały przed akcesją. Bardzo obawiali się jej przecież polscy rolnicy, którzy nie byli przyzwyczajeni do tego, że

coś mogą po prostu dostać – w ramach mechanizmów wsparcia tego sektora gospodarki. A okazało się, że to właśnie rolnictwo jest w Polsce beneficjentem, przede wszystkim dzięki otworzeniu rynków dla eksportów polskiej żywności. Polska jest gigantem na tym rynku w Unii Europejskiej dzięki swojej konkurencyjności i wspólnemu rynkowi.

Najistotniejsze jednak i najbardziej powszechne jest podejście Polaków do Unii na poziomie elementarnym. Uważamy, że Europa – a z nią identyfikujemy Unię – to nasz dom, nasza część świata. W związku z tym, gdy ktoś mówi teraz o poplexicie, Polacy traktują to jak kompletny absurd: dlaczego mieliby się wyprowadzać ze swojego domu, do którego właśnie wróciliśmy? Mamy tu zderzenie z pewnym typem mentalności zachodnioeuropejskiej, który uważa, że cywilizacja zachodnia kończy się na Łabie i na Odrze. Uznanie, że nasza część kontynentu jest integralną częścią Europy to wciąż coś, co zachodni politycy i ośrodki opiniotwórcze muszą wewnątrznie przetrwać.

Więc ta mentalna „żelazna kurtyna” wciąż istnieje?

Ta bariera jest znacznie starsza niż żelazna kurtyna – choć w czasach powojennego prosperity na Zachodzie, gdy powstawała Unia Europejska, jeszcze się wzmocniła – i narastała przez wieki, zwłaszcza w wieku XIX. Jeżeli wspominamy dzisiaj Drugą Rzeczpospolitą jako państwo niepodległe, do którego jesteśmy przywiązani, to musimy pamiętać, że po wszystkich historycznych zawieruchach, rozbiorach i braku suwerenności, musieliśmy nadrabiać potężne zapóźnienia cywilizacyjne. Wciąż je nadrabiamy, przez co w Unii Europejskiej ciągle jesteśmy traktowani jak ubogi i na dodatek zacofany kuzyn. Jednak nawet przyjmując tę optykę: ubogi kuzyn wciąż jest częścią rodziny.

Ubóstwa, w dużej mierze niezawinionego, jako ta pracowitsza część Europy nie mamy powodu się wstydzić. Przywiązania do tradycji i własnej tożsamości, które komunizm chciał zniszczyć, też. Przekonanie, że Europa dzieli się na część światłą, tolerancyjną i różnorodną oraz część ksenofobiczną i nacjonalistyczną, która członkostwo w UE sprowadza do „dojenia” unijnej kasy, to kompletna bzdura. Taki stereotyp funkcjonuje, jest instrumentem spychania nas na peryferie, ale nie jest w stanie zniechęcić Polaków do Europy.

Kryzys migracyjny w 2015 roku objawił niechęć Polaków do rozwiązań wdrażanych odgórnie, bez konsultacji z państwami członkowskimi. Czy ten sprzeciw wynikał raczej z treści postanowień systemu kwotowego, czy jego formy?

Wynikał zarówno z treści, jak i formy tamtego rozwiązania. Polacy mieli przekonanie, że tak ważki problem rozwiązuje się w demokratyczny sposób. Jesteśmy przecież bardzo przywiązani do demokracji, niezależnie od tego, jak narzekamy na własną – nie wyobrażaliśmy sobie, że taką decyzję – sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem – można nam narzucić. Co do meritum... Polacy są narodem emigracyjnym, mają dużą dozę empatii wobec ludzi, którzy szukają lepszego miejsca dla siebie. Świadczy o tym choćby stosunek do masowo przyjeżdżających do naszego kraju Ukraińców. Ale w stosunku do przybyszów z Bliskiego Wschodu zadziałała, obok negatywnych stereotypów i uprzedzeń, często jeszcze rodem z PRL, świadomość rzeczywistych barier kulturowych, ignorowanych przez ideologię multikulturalizmu, oraz negatywnych zjawisk masowej migracji z tego kierunku. W metropolii, takiej jak Warszawa, spotyka się imigrantów z Bliskiego Wschodu, nie stanowi to problemu. Ale Polacy, wędrując do zachodniej Europy, z bliska widzieli dalekie od integracji muzułmańskie getta z ich

patologiami, które ludzie z establishmentu widzą co najwyżej z okien samochodu lub na ekranach telewizorów. Nasi zamożni sąsiedzi chcieli się z nami „podzielić” problemem, który sami wykreowali, uczynili go odurzeni ideologią nierozwiązywalnym i chcieli jeszcze to zrobić par force.

Kolejnym kryzysem, który obserwowaliśmy, był brexit. Unia bez Wielkiej Brytanii oznacza jeszcze silniejszy parytet polityczny osi Paryż-Berlin, wzmocniony przez system podwójnej większości. Czy z perspektywy Polski będzie to prowadzić do pogłębienia antagonizmu między krajami „starej” i „nowej” Unii?

Nie sprowadzałbym, w kontekście brexitu, tego efektu wyłącznie do tej linii podziału. Reakcje są bardziej zróżnicowane: poza twardym rdzeniem Unii – Niemcami, Francją i krajami Beneluksu (z zastrzeżeniem przy Holandii) – nikt się z brexitu nie cieszy. W Hiszpanii, w Portugalii, czy także w Skandynawii, można dostrzec silny żal. Bo wszystkie kraje, które są w ramach tego układu francusko-niemieckiego zagrożone peryferyzacją, są tym zaniepokojone. Wielka Brytania była niezwykle istotnym kontrapunktem dla tandemu Francji i Niemiec, bez niej Unia traci balans. W tym kontekście celebrowanie przyjaźni francusko-niemieckiej, zamiast cieszyć leczeniem historycznych ran, zaczyna budzić niepokój. Konstrukcja Unii nie powinna przypominać ani Mitteleuropy, ani odnowionego Imperium Karolińskiego z marchiami na jego granicach zewnętrznych. Geneza naszego państwa tysiąc lat temu, ale i dramatyczna historia dwóch z górą ubiegłych wieków, to opór przed wchłonięciem Polski przez imperium, tak wschodnie, jak i zachodnie. Oczywiście trzeba uważać z odległymi historycznymi analogiami. Ale patrząc na współczesność,

dostrzec można gołym okiem, że wynikające z traktatu lizbońskiego odchodzenie od zasady konsensusu na rzecz decydowania większością służy coraz częściej w Unii dyktatowi silniejszych.

W założeniu system większości kwalifikowanej miał doprowadzić do zwiększenia partycypacji

Oraz – teoretycznie – funkcjonalności. Gdy policzy się głosy, to Francja i Niemcy są w stanie, po przekonaniu kilku krajów, przegłosować wszystko na zasadzie mechanizmu większościowego. Nawet przy opozycji tak dużych i ludnych krajów jak Włochy, Polska czy Hiszpania. Mechanizm większościowy jest w kontekście odejścia Brytyjczyków groźniejszy, niż był. Wielka Brytania wносиła również element różnorodności – można było narzekać, że Brytyjczycy są egoistyczni, ale Wielka Brytania ma kulturę polityczną głęboko demokratyczną oraz wolnorynkową i bardzo różni się od etatystycznej Francji czy korporacyjnych Niemiec. Pojawia się pytanie: czy Polakom odbudowującym po latach swoją demokrację nie bliżej jest do Brytyjczyków, niechętnych nieprzejrzystym rządowi biurokracji lub z fałszywą fasadą biurokracji? Deficyt demokracji to jest problem, z którego wprost wynikają inne, ogromne problemy Unii Europejskiej. To widać na poziomie międzypaństwowym, w stosunku „starej Unii” do krajów takich jak Polska – jest w nim dużo lekceważenia, czy wręcz pogardy, gdy ważymy się wyrażać poglądy inne, niż te, które są sankcjonowane przez niewpisaną w żaden traktat ideologię. Jeżeli jeszcze za ideologiczną kurtyną kryją się różnice interesów, pozycja czarnej owcy UE jest zapewniona. To w niewielkim stopniu przypomina założenia, które stały u podstaw Unii Europejskiej. Europa miała być Kontynentem współpracujących ze sobą narodów, a nie grupą zadowolonych z siebie państw, które skorzystały na byciu po właściwej

stronie żelaznej kurtyny pod bezpiecznym parasolem USA, których wsparcie pomogło zbudować dobrobyt na skalę niewyobrażalną przed II wojną światową. Ta wojna zrujnowała kontynent, ale bardziej jego część wschodnią, o czym oczywiście niektórzy nasi „przyjaciele” z Zachodu nie chcą pamiętać.

Jak doszło do tego, że Polska zaczęła być postrzegana jako l'enfant terrible Unii Europejskiej?

Naruszyliśmy polityczne tabu, które nie jest zapisane w żadnym traktacie. Wyszliśmy z kąta, zamiast jeździć do Berlina i Brukseli po wskazówki, zaczęliśmy funkcjonować jak normalne państwo – porządkujące zgodnie z wolą obywateli swoje wewnętrzne podwórko i na zewnątrz zabiegające o polskie interesy, często naturalnie sprzeczne z interesami innych krajów. Zostało nam to poczytane za niewybaczalny grzech, który zwalczany będzie każdym możliwym instrumentem dostępnym establishmentowi unijnemu. Jednym z nich są siły polityczne w Polsce – dominujące w III RP, które w przysłowiowym kącie dobrze się czują i dalej nazywają go ważnym miejscem w Europie. Zawsze będą go tak nazywać i będą nawet z niego ostentacyjnie dumni, jeśli przy wsparciu swoich patronów zdołają odzyskać władzę w naszym kraju. Wypowiedzenie uczestnictwa w systemie klienckim, symbolizowanym przez tzw. hołd berliński, jak się złośliwie nazywa prośbę ministra Sikorskiego, by Niemcy wzięły odpowiedzialność za losy Unii, to zły przykład dla innych. Niezbędna jest kara.

Kolejny grzech, związany z pierwszym, czyli łamanie całościowego systemu klienckiego przez budowanie struktur poziomych w naszej części Europy, regionalnych sojuszy na bazie wspólnych interesów, które zresztą nie muszą być identyczne, jak choćby w projekcie Trójmorza, czy w Wyszehradzie. Ta chęć wyrwania się, wraz z innymi krajami – zwykle z dawnego obozu komunistycznego – z peryferyjnej roli w Unii jest również grzechem niewybaczalnym. Do tego dochodzi twarde prezentowanie swojego stanowiska, na dodatek umocowanego w unijnych zasadach, w sprawach konkretnych i strategicznie ważnych, takich jak np. Nord Stream 2.

Grzech pierworodny rządu polskiego polega na tym, że jest – jak podobno wiadomo – populistyczny i nacjonalistyczny. A jednocześnie, inaczej niż nacjonaści i populiści z Europy, nie jest prorosyjski. Powinien też być skorumpowany, ale jedną z jego fundamentalnych cech jest zaangażowanie w walce z korupcją. To wszystko powoduje w Brukseli dysonans poznawczy – trudno polski rząd zakwalifikować do podziału na dobro i zło, walka, których podobno jest najważniejsza w europejskiej polityce.

Do gamy obecnych polskich wykroczeń i przestępstw należy też próba wyjścia z roli kraju, który jest wiecznym podwykonawcą w europejskim podziale pracy. Polska okazała się na tyle silna gospodarczo – pracowitością swoich obywateli oraz dzięki silnemu rynkowi wewnętrznemu – że stworzyła podstawy do wyjścia z modelu gospodarki zależnej i aspirowania do roli konkurenta na wyższych poziomach rozwoju. To dla naszych zachodnich partnerów to grzeszny

przerost aspiracji. Już w ramach procesu akcesyjnego dbano, żeby osłabić naszą konkurencyjność na rynku unijnym, do której było wtedy bardzo daleko.

Kolejnym złamanym tabu jest zarysowująca się coraz wyraźniej perspektywa specjalnych stosunków Polski ze Stanami Zjednoczonymi, nie tylko w kwestii bezpieczeństwa, ale i politycznych. Duża polityka zarezerwowana jest dla naprawdę ważnych państw, a do takich w Europie Polska nie ma się zaliczać. Donald Trump jako negatywny bohater „Europejczyków”, to tylko wygodna wymówka dla antyamerykanizmu, który coraz bardziej rozpowszechnia się w zachodniej Europie, w naszej części kontynentu niezrozumiałego. Nasza „proamerykańskość” to sól w oku byłych i aspirujących europejskich mocarstw, dla których Unia Europejska jest jedynym potencjalnym instrumentem odgrywania rzeczywiście globalnej roli oraz rywalizowania – również z USA – w globalnej grze. Dla Polski i jej sąsiadów taka próba złamania solidarności Zachodu, traktowanego jako cywilizacyjna całość, jest niedopuszczalna, a nazywanie jej „europejską solidarnością” czystą hipokryzją.

Mamy więc całą gamę wykroczeń, przestępstw i grzechów ciężkich, które przypisuje nam Unia Europejska. Nie dziwny się próbom ich karania przez europejski establishment.

Czekają nas teraz wybory do Parlamentu Europejskiego. Wiele wskazuje na to, że mogą to być kluczowe wybory, na których zadecydujemy, w jakim kierunku pójdzie Unia. W jakiej Europie Polacy chcieliby się obudzić 27 maja?

To zależy którzy Polacy. Podział między nami jest bardzo ostry, nie ma żadnej rzeczowej debaty, która by to zmieniła. Nie mogę i nie chciałbym wypowiadać się w imieniu tych, z którymi się nie zgadzam. Jest dla mnie zdumiewające, że można mieć pogląd, który jest wprost emanacją interesów innych państw – do tego nierzadko państw, które mają interesy sprzeczne z naszymi. W tej Europie po wyborach chciałbym zobaczyć polską politykę opartą o fundamenty naszej racji stanu, które powinny być niezmiennie.

Miejmy nadzieję, że nowy Parlament Europejski będzie wystarczająco zróżnicowany, byśmy mieli szanse jej bronić. Establishment brukselski jest przestraszony tym, co dzieje się w starych państwach członkowskich: dopiero co mieliśmy wybory w Finlandii, gdzie socjaldemokraci o włos wyprzedzili partię populistyczną, eurosceptyczną. Elity brukselskie dalej będą miały władzę, ale miejmy nadzieję, że będą na tyle osłabione, że nie będą mogły forsować swojej wizji Europy, która jest niekorzystna nie tylko dla krajów takich jak Polska, ale w ogóle dla obywateli Unii Europejskiej, a na dodatek chwieje całą konstrukcją Unii. Nie kto inny, niż kandydat na szefa Komisji Europejskiej wywodzący się paradoksalnie z CSU – a więc nominalnie chadeckiej, konserwatywnej partii – Manfred Weber, chciałby zamienić Unię w mechanizm do wewnętrznego dyscyplinowania państw członkowskich w imię rzekomej ideologicznej walki z populizmem, pod który brukselski czy berliński establishment może podciągnąć wszystko co mu się nie podoba lub zagraża jego władzy i interesom. Tak realizowanej, fałszywej wizji Europy, na pewno bym nie chciał.

